

Koniec marzeń o zielonej prawicy

Stało się jasne: nie tylko ta twarda prawica, ale nawet europejski „chadecki” centropraw poszedł na wojnę z unijną „zieloną agendą”. I co szczególnie ciekawe z perspektywy zwykłego obywatela Europy, pierwszą ofiarą tego zwrotu prawicy padła ta część „zielonego ładu”, która bynajmniej nie nosiła piętna fanatyzmu ideologicznego, ale brała się raczej z politycznych cnót roztropności i umiarkowania – pisze Jan Rokita w felietonie z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”.

Jako zapalony pasiecznik, nie mający jednak jeszcze dostatecznej praktyki w tej dziedzinie, staram się brać udział w szkoleniach pszczelarskich, które mają u nas zaskakująco wysoki poziom. I z tej też racji, jakiś czas temu, miałem okazję poznać niepublikowane wyniki badań naukowych nad stanem polskich pszczół i miodów. Rzecz jasna, nie mam tu zamiaru zastępować uczonych w roli opowiadacza o wynikach ich badań. Chcę się tylko podzielić moim poruszeniem, które wzięło się z dostępu do szczegółów wiedzy o spustoszeniach, jakim podlegają ostatnio pszczoły na skutek zmasowanej chemizacji rolnictwa. Ale rzecz jasna, pszczoły – to tylko margines (choć budzący moje emocje) cywilizacyjnej, a zatem również politycznej kwestii pustoszenia naszego świata przez pestycydy. Dlatego zadziwiłem się, kiedy niedawno usłyszałem jednego z sejmowych wicemarszałków, opowiadającego z niekłamanym, niemal dziecięcym zachwytem, jak to udało się zniweczyć złowrogie projekty Komisji Europejskiej, która chciała – o zgrozo! – doprowadzić do zmniejszenia nasycenia jedzenia Europejczyków najbardziej toksycznymi pestycydami. Ów (skądinąd

ceniony przeze mnie) polityk jest na dodatek młodym człowiekiem i - jak czytam w Wikipedii - ma trójkę maleńkich dzieci. Pomyślałem, że ów wybuch jego radości jest czymś rozumowo dziwnym, zważywszy, że cieszy się on z tego, iż jego małe dzieci zostały właśnie skazane na trucie ciężkimi chemikaliami, ilekroć będą popijać soczek ze świeżej marchewki polanej „roundupem”, albo zajadać kaszkę, suszoną w silosach toksycznym glifosatem.

Ale trzeba też przyznać, że polski wicemarszałek ma w swej radości całkiem niezłe towarzystwo. Oto czytam w jednej z gazet włoskich, jak to pani premier Giorgia Meloni (znów skądinąd - jedyny dający się dziś lubić przywódca europejski), z entuzjazmem typowym dla południowców, opowiada „traktorzystom”, którzy planowali niedawno najechać Rzym, o swojej kluczowej roli i wielkich zasługach w nakłonieniu szefowej Komisji Europejskiej do rezygnacji z ograniczeń na pestycydy. A przecież walny udział w wymuszeniu unijnej zgody na nieograniczone stosowanie glifosatu i innych pestycydów ma też inny wybitny polityk - szef EPP Manfred Weber, uważany w Europie za lidera ciągnącego w prawo tę ponoć ciągle „chadecką” międzynarodówkę. W każdym razie to właśnie Weber, wywodzący się z bawarskiej CSU, najmocniej ponoć dusił co bardziej ekologicznie wrażliwych europosłów, aby porzucili swoje eko-mrzonki o wyższych standardach żywności. Austriacka zielona europosłanka Sarah Wiener (która wcześniej była znanym szefem kuchni) opowiada nawet, iż pod presją Weбера powstała w Parlamencie Europejskim taka atmosfera, że z racji forsowania przez nią prawa ograniczającego pestycydy zaczęto nazywać ją „zielonym ajatollahem”, żądając aby „wróciła do garów, jeśli jej życie miłe”.

W każdym razie jedno stało się jasne: nie tylko ta twarda prawica, ale nawet europejski „chadecki” centropraw poszedł na wojnę z unijną „zieloną agendą”. I co szczególnie ciekawe z perspektywy zwykłego obywatela Europy, pierwszą ofiarą tego zwrotu prawicy padła ta część „zielonego ładu”, która bynajmniej nie nosiła piętna fanatyzmu ideologicznego, ale brała się raczej z politycznych cnót roztropności i umiarkowania. Czyli zamiar roztoczenia kontroli nad bezkarnym stosowaniem toksycznej chemii w żywności, tak przez farmerów, jak i przez przemysł spożywczy. Nawet sławetny glifosat, za który niemiecki koncern Bayer musi płacić wielomiliardowe kary i odszkodowania w Ameryce, w Unii będzie teraz mógł być bezkarnie stosowany aż do roku 2034. Nawiasem mówiąc, pewnie nic w tym dziwnego, skoro ujawniony ostatnio kalendarz spotkań niemieckiej szefowej Komisji Europejskiej pokazuje, że jest ona niemal „na sztywnym łączu” z baronami niemieckiego wielkiego biznesu. Jednak dla rozumienia kierunku, w jakim toczy się europejska polityka, ważniejsze jest to, że owa antyzielona kruczata staje się teraz wyróżnikiem europejskiej prawicy, niemal jej wizytówką, albo znakiem firmowym.

A tak wcale nie musiało być. Raptem parę lat temu analitycy polityczni ukuli akronim „greencon”, jako symbol nowego trendu ideowego w europejskiej polityce. To był rok 2020, w którym po głębokich kryzysach politycznych, zarówno centroprawica, jak i zieloni, dokonali mocnego zwrotu ideowego, w dwóch krajach powołując wspólne rządy. Najpierw była to Austria, w której ówczesny kanclerz Kurz wygłosił przy zaprzysiężeniu czarno-zielonego rządu słynne słowa: „Możemy jednocześnie ochraniać klimat i granice”. To oznaczało, że zieloni porzucą ideologię multi-kulti, zaś konserwatyści przyjmą program ekologiczny. W tym samym roku szeroka koalicja prawicy, liberałów i zielonych powołała nowy rząd w Irlandii, blokując w ten sposób dojście

do władzy zwycięskiej lewicy. Wyglądało na to, że czarno-zielony rząd jest kwestią przyszłości także w Niemczech, choć – jak wiadomo – w Berlinie sprawy miały się niestety potoczyć nie tylko inaczej, ale o wiele gorzej.

Co zdecydowało o tym, że polityka poszła jednak w odwrotnym kierunku? Rzecz wymagałaby pewnie gruntownej analizy, albowiem upadek atrakcyjnego konceptu ideowego „greencon” dzieje się z ewidentną szkodą dla Europejczyków. Póki co odnoszę wrażenie, że po stronie „green” zaważył ideologiczny fanatyzm, z jakim w ostatnich latach traktowany był projekt „zielonego ładu”. Faktem jest, że między nieszczęsną Gretą Thunberg i maniakami przyklejającymi się do autostrad, a sposobem prowadzenia zielonej polityki przez komisarza Timmermansa, była co najwyżej różnica stylu, ale nie istoty. I dlatego właśnie zieloną politykę i jej zwolenników czeka teraz bolesny odwrót. Z kolei po stronie „con” zaczął wygrywać polityczny cynizm, z lubością przez samych cyników nazywany „realizmem”. Ów pseudorealizm polega na tym, że gdy zorientowano się, iż najłatwiej pozyskać zwolenników uderzając z całą mocą w żywnościowo-rolniczą część „zielonego ładu”, to zarówno międzynarodówka EPP, jak i nowa, wznosząca się dopiero alt-prawica, uznała to po prostu za świetny polityczny interes. I to tym bardziej, że od roku 2022 trafiła się akurat dolna faza cyklu koniunkturalnego w rolnictwie, więc ceny większości produktów rolnych spadały, skutkując spadkiem zamożności wsi i opłacalności rolnictwa. Paneuropejski bunt traktorzystów dopełnił tylko całej rzeczy, tak że koncept „greencon” kona właśnie teraz na naszych oczach.

Żałuję tego przedwczesnego zgonu idei, która poruszała od jakiegoś czasu moją polityczną wyobraźnię. I to nie tylko tak „pro domo sua” – to znaczy jedynie ze względu na moje pszczoły, które każdej wiosny trują się wylatując na nieodległe pola rzepaku, albo też tylko dlatego, że odkąd zamieszkałem na wsi zrozumiałem, co znaczy w praktyce mieć szczydrze polane glifosatem pola wokół własnego domu. Marzyło mi się bowiem znacznie więcej: że sojusz „greencon”, tak jak to cztery lata temu sugerował w Wiedniu Kurz, mógłby naprawdę stać się ideowym fundamentem takiej polityki, która z jednej strony powstrzymałaby falę obcych kulturowo imigrantów, a z drugiej – odnowiła *modus vivendi* pomiędzy Europejczykiem i naturą, zepsuty za sprawą nadmiernie rozpasanego kapitalizmu. A prawdę mówiąc, marzyło mi się coś jeszcze więcej! Upatrywałem w tym bowiem nadziei na odbudowę ideowej więzi pomiędzy prawicą i katolicką nauką społeczną, która co najmniej od czasu encykliki „Laudato si” operuje kategorią „grzechu ekologicznego”, ignorującego „odpowiedzialność człowieka wobec ziemi należącej do Boga” (LS, 68). Niestety, prawica i tak skazana na spór z Kościołem Powszechnym z powodu obrony spójności kulturowej Europy przed najazdem obcych, również i w traktowaniu natury wstąpiła teraz na wojenną ścieżkę z katolicką nauką społeczną. Na obu tych polach, tak newralgicznych dla przyszłości europejskiej polityki, zeświecczona prawica skazuje Kościół Powszechny na faktyczny sojusz ze swoimi ideowymi wrogami.

Jan Rokita